

PETER BENDER

DWIE TOŻSAMOŚCI NIEMCÓW

Nawet pod koniec tego tysiąclecia nie można mówić o Niemczech, nie rozpoczynając od Hitlera. Klęska w 1945 r. była nie tylko klęską militarną i polityczną, lecz przede wszystkim była klęską moralną. Pomimo że Niemcy po wojnie stały się silne pod względem gospodarczym, politycznym, a może nawet wojskowym – można stwierdzić, że Niemcom złamano wówczas „kręgosłup”. Było to przyczyną ich zachowań przez cały okres powojenny i wciąż nią jeszcze pozostaje.

Przez pierwsze dwadzieścia lat wielu Niemców nie chciało przyznawać się do swojej narodowości, woleli za granicą mówić po nagielsku i sprawiać wrażenie, jakoby byli Skandynawami. Osoby zaangażowane w politykę pragnęły najchętniej roztopić się w wielkiej wspólnotie ponadnarodowej, w przypadku Republiki Federalnej była to Wspólnota Europejska, a w przypadku NRD socjalistyczna. Było w tym wiele dobrej woli, lecz większość nie zauważyła, że uciekają sami przed sobą. Uciekali oni przed swoją przeszłością, gdyż cała ich historia, jak wówczas się mówiło, była celowo ukierunkowana na Hitlera. Polacy i Niemcy przez wiele lat nie rozumieli się. Polacy wyjaśniali prawie wszystko odwołując się do swojej historii, a Niemcy, z Zachodu, jak i ze Wschodu, widzieli prawie wszystko przez okulary ideologii.

Demoralizacja wywołana klęską wyrażała się w sposób szczególny w stosunku do strat narodowych. W Polsce przez wiele dziesięcioleci kierowano prawie całą uwagę na ton rewanżu i rewizjonizmu ze strony Niemiec. Było to zrozumiałe, choć fałszywe. Należałoby raczej zastanowić się, dlaczego Niemcy pozostali tacy bierni po utracie jednej piątej swojego terytorium. Po I wojnie światowej znacznie mniejsze straty spowodowały zbrojną walkę sił *Freikorpsu* („korpus ochotników”, ochotnicza armia walcząca o powrót ziem utraconych przez Niemcy po traktacie wersalskim, między innymi w Wielkopolsce – przyp. tłum.). Wszystkie partie polityczne uznały wówczas wschodnie granice ustalone w Wersalu za nie do przyjęcia; te same granice jako granice z roku 1937 stały się po II wojnie światowej nieosiągalnym szczytem wszelkich marzeń.

NRD została zmuszona do uznania granic przez Stalina, Republika Federalna uczyniła to z własnej woli, lecz dopiero po dwudziestu latach

– krokiem decydującym był Traktat Wersalski, podpisany przez Brandta w 1970 r., nie zaś traktat podpisany przez Kohla w 1990 r., który stanowił jakby spóźnione oświadczenie *CDU* i *CSU* na temat tego, co wszyscy inni Niemcy już dawno zaakceptowali. Wprawdzie, na szkodę wszystkich zainteresowanych, wiele spraw uległo znacznemu opóźnieniu, lecz nie było prawdziwych dążeń do odwetu, zdecydowanego zamiaru lub planowania odzyskania choćby części dawnych niemieckich prowincji wschodnich. Nie uznawano faktów, lecz nie uczyniono niczego, aby je zmienić.

Taka postawa dotyczyła także uciekinierów, przesiedleńców i wypędzonych. Było ich co najmniej osiem milionów, lecz nie wywołali żadnej rewolucji, społecznej ani narodowej. Nie stworzyli *OAS* jak Francuzi w Algierii lub *OWP* jak Palestyńczycy, żaden z nich nie stał się terrorystą. Nie bronili się przed integracją ze społeczeństwem zachodnich i wschodnich Niemiec, lecz o to zabiegali. Ich związki stworzyły w Republice Federalnej potężne lobby. Realizowali słuszne żądania społeczne i wzbudzali wiele niepokojów politycznych, ponieważ ożywiali iluzje i poważnie przeszkadzali wszystkim rządóm federalnym w prowadzeniu polityki wschodniej, opóźniali jej postępy, a często ją blokowali. Nie stali się jednak nigdy naprawdę groźni.

Najbardziej zdumiewający był stosunek Niemców do podziału kraju – także w tym przypadku odmawiali uznania stanu rzeczy, a później podjęli starania, aby uczynić go znośnym, na ile to było możliwe. Żaden z niemieckich polityków, z Zachodu, jak i ze Wschodu nie uczynili dla zjednoczenia choćby najmniejszego kroku, który mógłby zaniepokoić opinię światową. Po powstaniu na Węgrzech w 1956 r. niektórzy na Zachodzie obawiali się: czy *Bundeswehra* wymaszeruje, jeśli Niemcy wschodni zostaną ostrzelani jak to stało się 17 czerwca (1953 r. – przyp. tłum.). W Bonn przez długi czas rozlegały się głosy, że trwały pokój nastąpi w Europie dopiero wówczas, gdy nastąpi zjednoczenie Niemiec. We wschodnim Berlinie zaś niestrudzenie przestrzegano przed „hitlerowskimi generałami” i „strategami wojny błyskawicznej” znad Renu.

Wszystko to było nieprawdą. Jeśli w powojennych Niemczech pojawiało się zagrożenie wojną, to było ono wynikiem sporu wielkich mocarstw o Niemcy, a szczególnie o Berlin. W stosunkach pomiędzy dwoma państwami niemieckimi panowało myślenie w kategorii jakby wojny domowej, ale prawdziwego zagrożenia wojną nigdy nie było. Gdy naród niemiecki powstawał, to na Zachodzie w dążeniu do pokoju, a na Wschodzie przeciwko *SED*. Powstanie na rzecz zjednoczenia nigdy nie miało miejsca, 17 czerwca był przewrotem w podłożu społecznym, a jesień 1989 r. wyrażała dążenie do demokratyzacji NRD. Zjednoczenie Niemiec stało się dopiero następstwem likwidacji muru berlińskiego.

Oczywiście siła mocarstw okupacyjnych działała odstrasżająco. Występowały także rozważa i realizm, których nie można przecenić. Rozsądek jednak,

przede wszystkim, był dzieckiem słabości, moralnej słabości i poczucia klęski narodu. W czasach Hitlera Niemcy nadwreżyli swoje siły do granic możliwości dla ojczyzny, a teraz postanowili zająć się swoimi sprawami. Przestało być ważne państwo, ważna stała się gospodarka. Siły poświęcono nie ambicjom, lecz zbudowaniu dobrobytu. Nawet w godzinie zjednoczenia kanclerz federalny nie odważył się wzywać do poświęceń.

Przejdę obecnie do opisu drugiego czynnika, który pomaga w wyjaśnieniu, dlaczego Niemcom tak trudno odnaleźć wspólną tożsamość. Gdy w 1949 r. powstały Republika Federalna oraz NRD, oba te państwa umieściły zjednoczenie w swoim programie. Inny przebieg wydarzeń nie był do pomysłenia, ponieważ jedność państwa była wówczas oczywista dla każdego. Gdy jednak w 1990 r. nastąpiło zjednoczenie, podział od dawna był tak samo oczywisty; jedynie emerycy pamiętali jeszcze czasy jednolitych Niemiec. Znaczna większość Niemców wychowała się w Republice Federalnej lub w NRD, a nawet urodziła się w tych państwach. Zнали oni jedynie swoje cząstkowe państwo, a nie poznali całości.

Ludzie urodzeni w latach powojennych, a szczególnie starsi spośród nich, słuchali wielu zapewnień o jedności Niemiec, ale stopniowo stracili wszelką wiarę w możliwość osiągnięcia tego celu. W latach pięćdziesiątych odbyły się jeszcze międzynarodowe konferencje na temat Niemiec, z którymi można było wiązać pewne nadzieje, ale skończyły się one jesienią 1962 r., po kryzysie kubańskim. Wciąż mówiło się o tym, ale niczego nie uczyniono. Niczego nie można było dokonać ponieważ żaden rząd na Wschodzie ani na Zachodzie nie stwarzał nawet pozorów, że chciałby pomóc Niemcom w zjednoczeniu.

Franz Josef Strauß był pierwszym politykiem wysokiego szczebla, który (w 1966 r. w wywiadzie dla „Zeit”) wyraził słowami to, co większość myślała: „Nie mogę sobie wyobrazić, że powstanie ponownie ogólnoniemieckie państwo narodowe”.

Tam gdzie niemożliwa były polityka, rosło zapotrzebowanie na gesty, symbole i manifestacje. Lata sześćdziesiąte stały się okresem działań zastępczych. Powstał ogólnoniemiecki żargon wciąż takich samych zdań, deklaracji i niejasnych obietnic. Słuchacze temu nie wierzyli, stopniowo przestali nawet wierzyć w to, że mówcy wierzą w to, co mówią. 17 lipca nie szło się na manifestację, lecz wyjeżdżało za miasto.

Na szczęście zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie była zawsze mniejszość, która uparcie starała się prywatnie podtrzymywać jedność. Obywatelom Republiki Federalnej było łatwiej jechać do NRD i utrzymywać kontakty. W kierunku odwrotnym, z NRD na Zachód mogli jeździć do połowy lat osiemdziesiątych jedynie emerycy. Jedność Niemiec pielęgnowana była przede wszystkim przez babcie i dziadków. Gdyby nie upór nieustępliwych osób z obu stron, które nie zniechęciły się pomimo wszelkich szykan na granicy, naród przeszedłby przez okres podziału jeszcze gorzej. Ogólnie rzecz

biorąc, kierownictwo NRD osiągnęło swój cel – podzieliło to, co według niego miało istnieć osobno.

Dla większości obywateli Republiki Federalnej NRD stopniowo zniknęła z pola widzenia. Wschód był obcy i budził obawy. Jak tylko sięgali pamięcią, zawsze słyszeli o Wschodzie tylko najgorsze. Lęk budziła kontrola graniczna, mur, drut kolczasty i psy strzegące granicy – wszystko to było tym bardziej straszne, jeżeli porównać z łatwością podróży do Francji, Włoch, a nawet do Ameryki. Wszędzie tam panowały stosunki polityczne i gospodarcze podobne do panujących w Niemczech. Nawet jeżeli istniały szczere intencje, często słyszałem wypowiedzi młodych ludzi, dla których zachodni sąsiedzi byli znacznie bliżsi niż wschodnia część ich własnego kraju.

Niektórzy zaczęli mieć podejrzenia. Może Niemcy wschodni nie są tacy bez winy? Może przyczynili się do swojego położenia – dlaczego wcześniej nie wyjechali, dlaczego zostali na Wschodzie? Jak można było wytrzymać pod rządami komunistów, nie mając z nimi nic wspólnego?

Dołączyła się do tego demonizacja komunizmu, którą młodzi ludzie z trudnością mogą sobie dzisiaj wyobrazić. Późne rozpoczęcie aktywnej polityki wschodniej, którą dopiero w latach 1969/1970 zapoczątkowali Brandt i Scheel miało wiele powodów. Nie bez znaczenia był paniczny strach przed domniemanymi zawodowymi rewolucjonistami w duchu leninowskim. Każdy „wschodni agent” mógł rozłożyć na łopatki dziesięciu demokratów ponieważ był „dialektycznie wyszkolony”, należało więc pozostawić „dyskusję” z komunizmem policji i prokuraturze.

Brak kontaktów doprowadził do wyobcowania, a Niemcy zachodni wrosli w swoje państwo. Połączenie dobrobytu i demokracji było przekonujące. Republika Federalna stała się państwem nie zawsze ukochanym, ale chętnie akceptowanym. Spełniała większość pragnień swoich obywateli, a narodowa jedność stawała się coraz bardziej odległą. Gdy przychodzili ankieterzy ośrodka badania opinii, grzecznie mówiono „tak” dla zjednoczenia, ale dla niewielu było to życzeniem serca. Gdy chodziło o postać, w jakiej miałyby nastąpić zjednoczenie, każdy myślał o prostym przyłączeniu NRD do Republiki Federalnej. Niemcy zachodni wyobrażali sobie zjednoczone Niemcy jako powiększoną Republikę Federalną.

W NRD działało się podobnie. Zjednoczenie zniknęło z zasięgu wzroku, trzeba było się więc urządzić w takim państwie, w jakim się pozostało. Ponieważ Niemcy wschodni cierpieli z powodu podziału znacznie więcej od Niemców zachodnich, nadzieja na zmianę stanu rzeczy była bardziej trwała.

Podzielony naród wrosł w dwa światy, różniące się zasadniczo i rzeczywistości. Z jednej strony był świat demokracji i umiarkowanego kapitalizmu, a z drugiej władzy partii, gospodarki planowej i socjalizmu, który był opiekuńczy i zniechęcał do działania. Różnice spowodowały powstanie nierównowagi; Niemcy zachodni mogli żyć bez Niemców wschodnich, a Niemcy

wschodni, znacznie trudniej bez Niemców zachodnich. Jedni obojętnieli, w drugich narastał żal. „Zrezygnowaliście z nas”. „Jesteśmy już daleko w tyle”. Wszystko co utrudnia „zrośnięcie się” po roku 1990, istniało już trzydzieści lat wstecz, chociaż w mniejszym nasileniu.

Doszedłem teraz do trzeciej przeszkody, którą jest polityka Bonn od 1990 r. Zjednoczenie przeprowadzono tak, jakby pół wieku podziału i rozstania Niemców prawie nie miało dla nich znaczenia. Jakby trzeba było tylko naprawić trochę materialnych szkód. Jakby chodziło tylko o ponowne zjednoczenie.

Po drugiej stronie są tacy sami Niemcy, jak my, a więc to, co jest dobre dla nas, jest też dobre dla nich. Urządzimy u nich wszystko tak samo, jak u nas. Jeśli czegoś nie wiedzą lub nie potrafią, nauczmy ich. Do tego damy im kilka potężnych zastrzyków finansowych, takich, jakie my otrzymaliśmy w ramach planu Marshalla i gospodarka u nich zakwitnie, wszystko będzie w porządku i wszyscy będą zadowoleni.

Tymczasem nie wszystko jest w porządku i wielu jest niezadowolonych. Gdyby odpowiedzialni nad Renem zainteresowali się swoimi rodakami, dowiedzieliby się, że przez czterdzieści lat autorytarnego socjalizmu życie kształtowały inne doświadczenia, inne nawyki i inne skale wartości. Stałoby się jasne, że nie tylko Niemcy wschodni zmienili się pod wpływem Wschodu, lecz także Niemcy zachodni pod wpływem Zachodu, nawet bardziej – w porównaniu do roku 1945, gdy byli do siebie podobni.

Za mało wiedziano i zastanawiano się nad tym, że ludzie nie są komputerami, które można od nowa zaprogramować. Nie uświadomiono sobie, że w dyktaturze i gospodarce planowej trzeba było wykształcić inne zdolności i techniki życia niż w demokracji i gospodarce rynkowej. Nie zrozumiano, że dokładne zastosowanie zachodnich norm było przyczyną zniechęcenia.

Nie zauważono, że wielu wschodnich Niemców po czterdziestu latach rządów funkcjonariuszy partyjnych wiązało z demokracją oczekiwania, niekiedy za duże lub błędne. Nikt z osób odpowiedzialnych za przekształcenia na Zachodzie nie zadał sobie trudu, żeby po zmianie ustroju przedstawić rodakom bońską demokrację jako przykład. Zachodnioniemieccy politycy pokazali wschodnioniemieckim technikę demokracji parlamentarnej, lecz nie przybliżyli im jej ducha. Jeden z nowych socjaldemokratów powiedział na początku 1990 r. w Weimarze: „Od człowieka z Frankfurtu nad Menem nauczyliśmy się tylko, jak obalić już obowiązującą decyzję”. Wszystkie partie, najmniej Zieloni, miały tylko jeden cel. Próbowaly przed wyborami do *Bundestagu* pod koniec 1990 r. zdobyć na Wschodzie klientelę i wyborców. Wszystko to działo się z zastosowaniem takich samych brutalnych metod, jak na Zachodzie. Napisa-no na plakatach „Jeden z kraju Saary wystarczy!”, co oznaczało „Lafontaine jest taki jak Honecker”.

Walcząc o władzę i o wyborców nikt nie zadał sobie pytania, czy zachodnioniemiecki system partyjny jest odpowiedni dla stosunków we wschodnich Niemczech. Skoro są Niemcami tak jak my, uważano, mają taki sam światopogląd i konflikty, takie same różnice interesów i postawy polityczne. Narzucono wschodnim Niemcom system Republiki Federalnej, a ponieważ zachodnie partie trzymają krótko swoje wschodnie skrzydła, wprowadzono tam taki sam układ. Taki sposób myślenia ma jedną poważną wadę. We wszystkich partiach wschodnie skrzydła czują się zdominowane, nie rozumiane, nie docenione. Interesy polityczne wschodu nie mają znaczenia wobec interesów zachodu, a co więcej problemy polityczne, priorytety a nawet cele są postanawiane na zachodzie. Wiele tych spraw nikogo na wschodzie nie interesuje.

Zjednoczenie Niemiec przebiegało przeważnie według zasad polityki siły, nie zaś według założeń narodowej solidarności. Wielu Niemców na wschodzie przypuszczało, że powstanie wielki plan przewyciężenia podziału, tymczasem stało się zupełnie inaczej. Tak wiele spraw przebiegało źle dlatego, że Niemcy zachodni, którzy tym wszystkim zarządzili, właściwie nie mieli żadnego planu. Nie mieli najmniejszego pojęcia, ile pracy będzie wymagało zjednoczenie i postępowali tak, jak przyszło im do głowy w ciągle zmieniającej się sytuacji, a także – nierzadko – zgodnie ze swoimi interesami. Wyjaśnienie niemieckiej sytuacji jest banalne i ludzkie: bezmyślność i egoizm – nic nowego w światowej historii.

Historyczne potwierdzenie stanowią słowa Theodora Storma, które we wschodnich Niemczech cytuje się z wielką przyjemnością. Storm mieszkał w Szlezwiku-Holsztynie, który został uwolniony od Duńczyków, a później, w 1867 r., został włączony do Prus. Poeta tak opisał, to co działo się pod pruskim panowaniem.

„Nie możemy zaprzeczyć, że żyjemy pod przymusem. Jest to tym bardziej decydujące, że przemoc pochodzi od tych, których poprosiliśmy o pomoc przeciw Duńczykom. Teraz, gdy oswobodzili nas od nich, traktują nas jak pokonane plemię. O nic nas nie pytają, likwidują ważne instytucje, narzucając inne według swojego uznania. Ich zły kodeks karny zawiera wiele paragrafów, które już dawno nie wytrzymują krytyki prawnej i moralnej. Jest on bardziej niebezpieczny dla przyzwyczajonych ludzi niż dla złoczyńców, których rzekomo miał dotyczyć. Prusacy mają wszelkie powody, aby zachowywać się u nas skromnie. Wynika to ze sposobu, w jaki weszli w posiadanie naszego kraju oraz z tego, że mamy w duchowym życiu narodu udział większy niż jakakolwiek inna część Prus. Tymczasem każdy przybywa z miną zdobywcy i taką, jakby przynosił wyższe objawienie... Nieprawdopodobnie naiwna prostota tych ludzi umacnia nienawiść, którą w sercu mieszkańców Szlezwika-Holsztynu zasiali przodkowie Prusaków”.

„W ten sposób nie należy jednoczyć Niemiec” – pisał Storm. I miał rację! Z jego słów wynika także nadzieja. Pomimo zastrzeżeń w ubiegłym wieku Niemcy stały się jednością! Polska uczyniła to w tym stuleciu. Polscy historycy mogliby nam bardzo pomóc, opowiadając, w jaki sposób Polacy uzyskali swoją jedność po 1918 r. i dlaczego pytanie o tożsamość znalazło ostateczną odpowiedź.

Tłumaczenie: *Michał Tomaszewski*